

J. H. Rosny.

Podwójne życie Piotra de Givreuse.

(Z francuskiego tłumaczyła M. J. MIGOWA)

15

Zaledwie kilkaset metrów oddzielało jeszcze łódkę elektryczną od nurkowca. Załoga łodzi podwodnej obrzucała małego przeciwnika pociskami ze wściekłością. Ale „Syrena” chyba jak mewa, zwinna jak jaskółka zdawała się igrać wśród pękających bomb.

— Aaa! — wykrzyknął stary marynarz.

Nowy pocisk zanurzył się w wodzie, w odległości może pięciu metrów od łódki.

— Jeszcze nas nie mają!...

— Trzeba zwolnić!... Potem zatrzymać się — komenderował spokojnie Filip.

Stary usłuchał.

Statek „Old Queen Elizabeth” tonął. Wątki barki ratunkowe umykały po błękitnej powierzchni morza. Żołnierze, stanowiący załogę łodzi podwodnej śmiali się tryumfująco.

— Słój! — rzekł Filip, nie odrywając wzroku od nieprzyjacielskiego statku.

Nacisnął kolejno trzy guziki elektryczne. Głuchy szum, potem świst... Hałas... przekleństwa.

— Dostali! — krzyknął Filip — A teraz co sił!

„Syrena” oddalała się z najwyższą szybkością. Nurkowiec pozostał zda się nietknięty. Załoga jego nie ustawała w bombardowaniu łodzi.

— A jednak dostali! — zauważył flegmatycznie Piotr Salaun.

Minął kwadrans. „Syrena” była już tak daleko, że pociski nieprzyjacielskie nie mogły jej dosięgnąć. Okręt „Old Queen Elizabeth” rogrążył się falach. Łódź podwodna nie zanurzała się jeszcze, lecz trwała na powierzchni morza.

— Zwolna teraz! — rzekł Filip.

Młodzieniec przyłożył lornetę do oczu i badał wzrokiem nurkowca.

— Tam się bezwątpienia coś dzieje!

— Oho! — wykrzyknął Salaun — Proszę tam popatrzeć... Tam znowu ktoś przybywa...

Teraz z kolei Salaun uzbroidł się w lornetę.

— Szyję daję!... to kontrtorpedowiec... Tylko to bydlę podwodne da odrazu nurka!

Kontrtorpedowiec zbliżał się z ogromnym pośpiechem.

— Łódź podwodna nie zanurza się! — rzekł Filip.

— To znaczy, że nie może! Nasz cukierek stanął jej widocznie w gardle!... Uwaga!... Hurra!...

Dał się słyszeć głuchy łoskot armatniego strzału.

— Za krótko!... — skonstataował Salaun.

Strzał powtórzył się, potem zahuczał drugi, trzeci. Rozpoczęła się regularna kanonada. Nurkowiec próbował odpowiadać.

Salaun tryumfował:

— Nie masz pary ty dyabelski smoku!... I nie umykasz pod wodę! Nie możesz już umknąć!...

Snop ognia i dymu wzniósł się w górę z łodzi podwodnej. Celny strzał przedziurawił statek. Nurkowiec zaczął tonąć. Dwa wielkie pociski dokończyły dzieła zniszczenia. Okaleczona, rozbita łódź podwodna poszła na dno. Porwał ją wir wodny. Wkrótce szeroka, tłusta, oliwna plama ukazała się na fali.

— „Skrzepnęło” to podle bydlę! — wykrzyknął Salaun, znowu żegnając się znakiem krzyża — I wie pan co, panie Frémeuse, sporo w tem naszej zasługi. Gdyby nie nasza mała torpeda, to wielki kolega nie zdążyłby na czas. Rekin ukryłby się w morzu!... Dawid zwyknie zły Goliata.

„Syrena” zbliżyła się do miejsca, gdzie zogrążyła się łódź podwodna. Tłusta, mieniąca plama zaczynała już zniknąć. Kilka martwych ciał kołysało się na falach.

— Mordercy! — huknął Salaun — Ile to oni łuda nagubili, ile dzielnych naszych chłopców!... Aha! Tam jeszcze jeden rusza się.

Człowiek walczył słabo z błękitnym bezmierzem wód. Zdawał się być jeszcze młody. Miał szczupłą twarz o gładkich policzkach.

— A gdybyśmy go tak wzięli? — szepnął stary marynarz.

— Spróbujmy!

Człowiek zniknął, ale po chwili wynurzył się znowu. Filip rzucił mu linę. Tonący uchwycił się jej kurczowo. Zsiniałe jego wargi zaszeptały

coś. potem ramiona rozwarły się bezsilnie i głowa zanurzyła się wśród fal.

Piotr Salaun i Filip już go nie zobaczyli więcej.

O godzinie dziesiątej rano Filip zjawił się w domu Teresy. Młoda gospodyni wyszła na spotkanie gościa w domowej luźnej sukni z miękiej wełny. Przed chwilą dopiero opuściła łazienkę. Włosy jej nie obeschły jeszcze.

Teresa skierowała na Filipa spojrzenie zdumione.

— Proszę mi wybaczyć... Pani sama rozkazała mi, abym zjawił się bez względu na godzinę.

— Jakto? Już skończone...

— Wyruszyliśmy przed świtem... Już dawno po wszystkim.

Filip przebrał się i odświeżył. Nic w jego postaci nie przypominało wyprawy, której był uczestnikiem.

— Wypróbowaliście łódkę?

— Tak jest. Warunki były niezwykle sprzyjające.

— Morze było spokojne...

— Nie, pani, nie to chciałem powiedzieć.

W sąsiednim pokoju dał się słyszeć głos:

— Proszę pani!... Proszę pani!... Pani nie wie?!

Zatopiona.

Teresa zaciękawiona otworzyła drzwi:

— Zatopiono? Co?... Jak?...?

— Łódź podwodną, proszę pani. Na wybrzeżu Granville!...

Teresa zwróciła się do Filipa:

— Pan wiedział o tem?

— Wiedziałem. Łódź podwodna zatopila statek angielski „Old Queen Elizabeth”, a następnie nasz torpedowiec zatopił łódź.

— Pan to widział?

— Tak, jak panią widzę.

— To było wtedy, gdy pan był na morzu?

— Tak.

— O!... Niechże pan opowiada, jak to się stało!...

Na twarzy Teresy naiwna ciekawość małej dziewczynki mieszała się z poważnym zainteresowaniem dojrzałej kobiety.

Opowiedział jej wszystko jak było, nie podkreślając zbytnio roli, jaką w tej walce odegrała „Syrena”.

Teresa rozgorzała ciekawością, rzuciła mu pytanie za pytaniem. Pragnęła gorąco tego, aby rola Filipa była rozstrzygającą i na swój sposób odwarzała w mózgu walce słabej łodzi z potężnym nieprzyjacielem.

— To pan zadał jej pierwszy cios!... — upierała się — To pan!

— Niewiadomo.

— Ależ to jasne!... Dłaczegóż bowiem łódź podwodna nie zanurzyłaby się.

Małowe policzki młodej kobiety zaróżowiły się.

Filip ujrzał w jej oczach błyszczących te iskry złote, które niegdyś były zwiastunami chwil upojenia.

Przeszłość przyjęła na się widomy kształt teraźniejszości. Młodzieniec zapominając o wszystkim, wyciągnął ramiona, aby w nich zamknąć tę uroczą kobietę.

Dwie małe dłonie pochwyciły jego ręce i przytrzymały, a głos wzruszony zaszeptał:

— Nie jeszcze!... Filipie, jesteś mi bardzo drogi, ale to nie jest jeszcze miłość!...

ROZDZIAŁ IV.

Doktor Savarre powrócił właśnie ze swej kliniki, kiedy wręczono mu bilet wizytowy jakiegoś gościa i dołączony do biletu list.

Nazwisko, wydrukowane na bilecie, było obcem dla Savarra. Niemniej jednak lekarz zainteresował się nim, a to z powodu adresu, który był również podany na bilecie. Adres ten brzmiał: „Zamek Grantaigle”.

Savarre rozerwał kopertę i przeczytał list:

Szanowny Panie!

Pan Karol Gourlande jest tym pomocnikiem, a raczej współpracownikiem mojego wuja, o którym panu wspominałem w czasie naszej rozmowy.

Wtedy właśnie pan Gourlande zaginął, przez pomyłkę wykreślono jego nazwisko z liczby żyjących.

On Pana będzie mógł poinformować daleko lepiej niż ja. Przedewszystkiem wie dokładnie,

jakie to były te odkrycia i wynalazki, które wuj pragnął zataić przed ludźmi.

Szanowny Pan może się zwrócić do pana Gourlande z pełnym zaufaniem. Nie znam bowiem uczciwszego człowieka.

Zechciej Pan przyjąć wyrazy mego szczerzego poważania

Abel Grantaigle.

Dr. Savarre przeczytał list po raz drugi bardzo uważnie.

— Odkrycia, które pragnął zataić?... Czyż naprawdę dowiem się czegoś teraz?

Wzruszył ramionami i kazał s'uzącemu poprosić Karola Gourlande.

Pomocnik Antoniego Grantaigle był człowiekiem niezwykle wysokim, prawie olbrzymem. Ponad szerokimi, chudymi ramionami wznosiła się duża głowa z kwadratową twarzą i obwisłymi policzkami. Przymarzone oczy zdradzały krótkowzroczność.

— Bardzo panu jestem wdzięczny, że pan zechciał przybyć — rzekł doktor Savarre, podając gościowi rękę.

Ten wyciągnął ramię, które niezupełnie jeszcze odzyskało siły, utracone wskutek ran.

Przez chwilę panowało milczenie. Doktor Savarre i Karol Gourlande obserwowali się wzajemnie.

— Panie doktorze — rzekł wreszcie ten ostatni — nie wiem, czego pan chce się dowiedzieć. Zwracam jednak uwagę, że informacje moje będą ograniczone przez przyrzeczenie, jakie dałem mojemu mistrzowi. Nawet jego śmierć nie zwalnia mnie z danego słowa.

— Czyż on doprawdy nie żyje?

— Nie ma żadnych pod tym względem wątpliwości. Zweglone zwłoki pana Grantaigle znaleziono pod gruzami.

— Pan znał, jak sędzę, wszystkie jego tajniki, to jest, chcę powiedzieć, tajniki jego laboratorium.

— Nie wszystkie. Istniało kilka metod podstawowych, kilka niezwyklej eksperymentów, które mistrz miał nawet przedemną. Mistrz był stanowczo najpotężniejszym geniuszem nauki, jakiego kiedykolwiek znała ziemia Faraday, Amperre, Carnot, Maxwell, Curie i inni najwięksi gasną wobec niego.

Doktor Savarre uczył w sobie przypływ złego humoru. Była to mieszanina zdziwienia, zazdrości i pogardy.

Po chwili jednak opanował się i uśmiechnął. Uśmiech ten oznaczał, że miejsce zazdrości zajął sceptycyzm.

— Pan nie wierzy — rzekł Gourlande i również uśmiechnął się — to naturalne... Zresztą to rzecz bez znaczenia. Można wierzyć, lub nie... Powróćmy do głównego tematu. Czego pan chciał dowiedzieć się?

— Chciałbym — powiedział neurolog z odzieniem wahaniami w głosie — znać rodzaj tych odkryć, jakich dokonał pan Grantaigle. Chodzi mi przedewszystkiem o rezultaty pozytywne, o realizację teorii. To nie próżna ciekawość skłania mnie do tego.

Gourlande pochylił głowę w zamyśleniu, poczem ozwał się:

— Pan przypomina sobie, co było przedmiotem pierwszych prac pana Grantaigle?

— Tak bardzo dokładnie, to nie. Zdaje mi się, że chodziło o polaryzację.

— Mój mistrz rozwijał teorie zupełnie nowe. Ostatnia jego, ogłoszona drukiem rozprawa, zawiera wykład o przemianie fal poprzecznych na podłużne i odwrotnie. Od tego czasu zerwał stosunki zarówno z wszelkimi towarzystwami naukowymi, jak ze wszystkimi uczonymi. Zaczynał zbytnio wyprzedzać współczesność. Mógł panu zdradzić jego badania nad polaryzacją elektryczną, w zastosowaniu nie do polaryzacji negatywnej i pozytywnej, ale do polaryzacji każdego elektronu, każdego atomu elektrycznego. To odkrycie doprowadziło do rzeczy niezwykłych, zdumiewających, przedewszystkiem do rozdawania atomów.

Dr. Savarre podskoczył. Krew uderzyła mu do głowy. Podniósł się z krzesła. Gwałtowne wzruszenie malowało się w jego oczach.

— Do rozdawania atomów!... — powtórzył.

Błysnęło mu w mózgu nagle światło. Doktor Savarre nie mógł powstrzymać okrzyku:

— To coś nadzwyczajnego!

Albowiem przestał wątpić, że słowa Gourlanda pozostawały w związku przyczynowym z tajemnicą podwójnego życia Piotra de Givreuse.

(Ciąg dalszy nastąpi).